

A portrait of Tadeusz Święchowicz, a middle-aged man with short grey hair, wearing a grey suit, white shirt, and blue patterned tie. He is looking directly at the camera with a neutral expression. The background features a stylized Polish coat of arms (white eagle on a shield) with a crown on top, set against a blurred Polish flag (white top, red bottom).

Tadeusz Święchowicz

IMPERIUM

— **ZŁA** —

REAKTYWACJA

FRONDA

IMPERIUM
— ZŁA —
REAKTYWACJA

Tadeusz Świąchowicz

IMPERIUM
— ZŁA —
REAKTYWACJA

FRONDA

[Kup książkę](#)

Okladka
Radosław Krawczyk

Zdjęcie na okładce
AFP/EAST NEWS

Redaktor prowadzący
Bartłomiej Zborski

Redakcja
Ewa Popielarz

Korekta
Katarzyna Kaźmierska

Skład i łamanie
TEKST Projekt Łódź

Copyright © by Tadeusz Świąchowicz
Copyright © by Fronda PL, sp. z o.o.

ISBN 978-83-64095-38-2

Wydawca
Fronda PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Fax. 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FrondaWydawnictwo

**POD WŁADZĄ DEMONÓW
WOJNY**

„POSTANOWILIŚMY, ŻE NIE BĘDZIEMY BRALI JEŃCÓW. Będziemy unicestwiać wszystkich” – oświadczył Wiczesław Ponomariow, „ludowy mer” Słowiańska na wschodniej Ukrainie, 10 maja 2014 roku. Jak doniosło radio Swoboda, zapowiedział on, że nie będzie więcej rozmów z ukraińskimi władzami, a żołnierze armii rządowej wzięci żywcem będą „bezwzględnie zabijani”. „Im ostrzej będziemy się z nimi obchodzili, tym szybciej zaczną nas poważać” – uzasadnił separatysta.

Taka wypowiedź to znak, że nie chodzi tu o zwykłą wojnę domową – to wojna totalna, przynajmniej w głowie samozwańczego mera. To walka przeciw fundamentalnym wartościom, na których zbudowano cywilizację Zachodu. Tak otwarta deklaracja nie przeszłaby chyba przez usta nawet największym zbrodniarzom XX wieku. Nawet Stalin wstydził się swoich zbrodni i nie głosił publicznie ich realizacji. Ponomariow zapowiedział narodziny świata, w którym silniejszy będzie zabijał słabszego i w którym wszelkie cywilizowane prawa przestaną obowiązywać. Zaczyna się epoka wojny w czystej postaci, w której zbrodnia staje się normą, a pokonani będą bezwzględnie zabijani. Po zapowiedzi unicestwiania nic już mocniejszego nie da się powiedzieć. Bledną po niej nawet tak spekta-

kularne akcje, jak np. branie za zakładników obserwatorów międzynarodowych. Generał Waldemar Skrzypczak mówił w kwietniu 2014 roku, że separatysty na pewno nie pojmaliby przedstawiciele OBWE bez zgody Moskwy i że będą oni przetrzymywani tak długo, jak to będzie dla Moskwy wygodne. „Porwanie jest haniebnym zdarzeniem, bardzo plami honor munduru żołnierzy rosyjskich, bo na pewno mieli oni w nim swój udział” – zawyrokował były wiceminister obrony. Cóż znaczy jednak honor w obliczu unicestwienia?

Po wypowiedzeniu wojny naszej cywilizacji nie można już dyskutować, nie można się wahać, nie można wątpić. Trzeba bronić tego, co mamy, aby nasze dzieci mogły cieszyć się wolnością i prawdą. Szczęśliwie nie jesteśmy już po „ciemnej stronie mocy”, możemy walczyć po stronie Dobra, Piękna, Wolności – tych wartości – o które walczyli nasi przodkowie. Wielu z nich stało na straconych pozycjach, wielu walczyło w wojnach z góry przegranych, wielu musiało nosić obce mundury. My mamy to szczęście, że bronimy swojego domu i swojego świata, pod własnymi sztandarami i we własnym interesie.

POCZĄTEK I KONIEC HISTORII

AMERYKAŃSKI POLITOLOG, FILOZOF I EKONOMISTA

Francis Fukuyama ćwierć wieku temu odtrąbił koniec historii. W 1989 roku opublikował głośny esej pod takim właśnie tytułem, który stał się zaczątkiem książki *Koniec historii i ostatni człowiek*. Fukuyama postawił tezę, iż proces historyczny zakończył się wraz z upadkiem komunizmu i przyjęciem przez większość krajów systemu liberalnej demokracji i gospodarki rynkowej. Według niego demokracja i rynek składają się na najlepszy z możliwych syste-

mów politycznych, który broni uniwersalnych praw, spisanych w takich dokumentach jak chociażby Powszechna deklaracja praw człowieka.

Tezę Fukuyamy o „końcu historii” poddał miazdzącej krytyce politolog Samuel Huntington w artykule *Zderzenie cywilizacji?*, opublikowanym w 1993 roku w kwartalniku „Foreign Affairs”. Huntington uważał, że politykę zdominują w przyszłości starcia między cywilizacjami, a źródłem konfliktów międzynarodowych staną się różnice kulturowe, wywodzące się z podziałów religijnych. W trzy lata później ten sam autor opublikował książkę, w której tytule nie było już znaku zapytania: *Zderzenie cywilizacji i nowy kształt ładu światowego*. Huntington dowodził, że po okresie zimnej wojny, kiedy przyczyną konfliktów był spór ideologiczny z komunizmem, po jego upadku na pierwsze miejsce powrócą spory między różnymi cywilizacjami.

Huntington uważa, że naturalnym stanem między cywilizacjami jest walka lub rywalizacja, podobnie jak dowodził to polski uczoney Feliks Koneczny. Tyle że nasz rodak przyczyny konfliktu między cywilizacjami widział szerzej, w zasadniczo różnym podejściu do wszystkich dziedzin życia. Koneczny wyróżniał 22 cywilizacje historyczne, przy czym w okresie, kiedy pisał swoje prace, czyli w pierwszej połowie XX wieku, istniało ich – według niego – siedem: bramińska, żydowska, chińska, bizantyjska, łacińska, arabska i turańska. Do tej ostatniej należeli Rosjanie i Kozacy. Koneczny uważał, że cywilizacja turańska ukształtowała się na terenach Wielkiego Stepu. Nie rozwinęła trwałych więzi społecznych i dominują w niej rody, które łączą się w ordy, aby dokonywać podbojów. Zwycięskie ordy mogą rozrosnąć się do olbrzymich rozmiarów, ale nie są trwałe i rozpadają się wraz ze śmiercią wodza lub najbliższą klęską. Największe ordy utworzyły

Hunowie, Turcy i Mongołowie. Aktywność polityczna w ramach tej cywilizacji ma – zdaniem Konecznego – charakter wojskowy. Władców nie obowiązują zasady moralności. Cywilizacja turańska nie rozwinęła żadnej z nauk, jednak szybko przyswajała sobie wynalazki w dziedzinie wojskowości. Religia nie ma w niej wpływu na moralność czy stosunki społeczne, natomiast często staje się przyczyną wojen.

W ujęciu Huntingtona współcześnie można wyróżnić dziewięć cywilizacji: zachodnią, latynoamerykańską, afrykańską, islamską, hinduistyczną, buddyjską, chińską, japońską i prawosławną (bizantyjską). Według niego priorytetem Zachodu powinno być ograniczanie i zwalczanie wpływów chińskich i islamskich. Autor przewidywał szybki upadek cywilizacji prawosławnej, na skutek jej kulturowego zlania się z cywilizacją zachodnią. Jego zdaniem ten proces już się rozpoczął po rozpadzie ZSRR. Na obszarach, gdzie dominującą religią jest prawosławie, powstała specyficzna cywilizacja oparta na odrzuceniu demokracji na rzecz autokracji. Panują tam ogromne różnice w poziomie życia oraz zaawansowania technologicznego pomiędzy centrami (zwłaszcza Moskwą) i prowincją, co jest związane z bizantyjskim rodowodem i ograniczonym kontaktem z Zachodem. Do cywilizacji prawosławnej Huntington zaliczał obszar byłego Związku Radzieckiego oraz Grecję, Rumunię, Bułgarię i Serbię. Twierdził, że część terenów tradycyjnie należących do tej cywilizacji jest obecnie przejmowana przez islam. Huntington wysnuł obawę, że również cywilizacja Zachodu traci swoje wpływy i aby zapobiec marginalizacji, dwa główne jej ogniwa, czyli Stany Zjednoczone i Europa, muszą ściślej ze sobą współpracować.

Pasjonujący dyskurs między zwolennikami „zderzenia cywilizacji” i „końca historii” może trwać jeszcze dekady, ale wydarzenia roku 2014 na pewno odcisną na nim

swoje piętno. Wybuch konfliktu ukraińskiego zdaje się wskazywać, że historia się nie skończyła. Ba, może on być traktowany jako modelowy przykład zderzenia cywilizacji. Znów pojawił się fundamentalny podział świata, w którym każdy widzi w drugiej stronie wszelkie zło. Przeciwnicy odwołują się do diametralnie różnych wartości, a kultury nie zbliżają się do siebie, lecz przeciwnie – błyskawicznie się od siebie oddalają. Aby doprowadzić do równowagi, konieczne jest przesilenie, w którym jedna ze stron przegra. Współpraca, dialog i kompromis stały się pojęciami, które każda ze stron rozumie inaczej, a większość scenariuszy przewiduje eskalację i pogłębienie konfliktu.

W Rosji i w prorosyjskich kręgach zaczęto identyfikować z mocami piekielnymi Zachód, a w szczególności Amerykę. Faszystami stali się też przywódcy ukraińscy, którzy obalili prorosyjski porządek i sprzeciwiają się rozpadowi Ukrainy. Na wschodzie tego kraju i w rosyjskich mediach za wcielenie zła uważany jest Ihor Kołomojski, gubernator Dniepropietrowska, który ostro wystąpił przeciw separatystom. W internecie krążą jego zdjęcia w mundurze esesmana, z gwiazdą Dawida zamiast swastyki. W Kijowie za to mówi się o nim z coraz większym szacunkiem, podczas gdy równocześnie najgorszymi obelgami obrzuca się prezydenta Putina.

W zachodnich mediach porównania Putina do Hitlera nabrały takiej siły, że aż sam Henry Kissinger poczuł się zobowiązany do stwierdzenia, że Putin to wcale nie Hitler tylko zwykły car. Różnica między obu tymi wodzami jest rzeczywiście zasadnicza i uwidacznia się między innymi w trwałości ich rządów. Putin panuje już dłużej niż Hitler, a końca jego władzy nie widać. Niemal przez cały ten okres był traktowany z respektem, a wielu przywódców Zachodu uważało się za jego serdecznych przyjaciół.

Dopiero w ostatnich miesiącach jego wizerunek na Zachodzie uległ gwałtownej demonizacji. Jest to zdumiewające, bo od samego początku rządów dawał on powody do poważnego niepokoju.

ALCHEMIA TERRORU

WŁADIMIR PUTIN DOSZEDŁ DO WŁADZY i umocnił swoją pozycję dzięki terrorowi i wojnie, w czasie której pokazał, jakim jest twardym przywódcą.

Dzień 9 września 1999 roku pozostanie w zbiorowej pamięci jako data niezwykła, choć jej wybór zapewne był przypadkowy. To właśnie wtedy wkroczyło do Moskwy Zło w czystej postaci, choć jeszcze pozostawało w ukryciu. Wkrótce terror przybrał wymiar totalny, objął wszystkich bez wyjątku: niewinnych i bandytów, mądrych i idiotów, dzieci i starców. Tamtej nocy Zło pokazało, że potrafi dosięgnąć każdego i że nikt w Rosji nie może już czuć się bezpiecznie. Było to dwa lata przed tym, jak Zło uderzyło w Nowy Jork i unicestwiło bliźniacze wieże World Trade Center. Ameryka, podobnie jak wcześniej Rosja, przeżywała traumę, ale wydaje się, że oba te koszmarnie doświadczenia doprowadziły do odmiennych konsekwencji. Ameryka wypowiedziała wojnę Złu i dziś ma nawet wrażenie, że ją wygrała. Rosja wciąż odbiera kolejne ciosy i nic nie wskazuje na to, aby jej mieszkańcy mogli przestać się bać skrytego mordercy. Przeciwnie, gotowi są dziś wykonać wszystkie jego rozkazy. Zapomnieli, jak wygląda świat bez niego. Demony władają dziś Wschodem.

Tuż po północy owego 9 września potężny wybuch zniszczył dziewięciopiętrowy blok mieszkalny przy ulicy Gurjanowa 19 w Moskwie. Zginęły 94 osoby. Cwierz tysiąca dzieci, kobiet i mężczyzn odniosło rany. Zniszczonych

zostało 108 mieszkań, uszkodzonych 15 budynków. Cztery dni później w kolejnym zamachu zginęło 119 osób. Nikt nie wziął odpowiedzialności za te zbrodnie, ale i tak wszyscy swoje wiedzieli. Podejrzenia od razu skierowano w stronę czeczeńskich radykałów z Kaukazu. Zwłaszcza że pięć dni przed uderzeniem na Moskwę dokonano zamachu na budynek w dagestańskim Bujnaksku, w którym byli zakwaterowani rosyjscy żołnierze. Zginęły wówczas 64 osoby. Kilka dni po zamachach w stolicy wyleciał w powietrze blok w Wołgodońsku – 17 ofiar śmiertelnych.

Trop prowadzi więc na południe, w stronę Kaukazu. Ówczesny premier Władimir Putin nakazuje bombardowania „bastionów ekstremistów”. Czeczeńcy krzyczą, że to niewinne wsie i ludność cywilna. Ofiar są setki. Putin odpowiada, że „dopadnie terrorystów nawet w kiblu”.

Trzy dni później w piwnicy bloku w Riazaniu odkryto worki z dziwnym proszkiem. Uznano go od razu za materiał wybuchowy. Wydawało się, że udaremnilo próbę kolejnego zamachu. Szybko ustalono sprawców. Dwa dni później władze oświadczyły, że umieszczenie worków w piwnicy to ćwiczenia FSB, a bomba była atrapą. Sprawa nigdy nie została w pełni wyjaśniona.

Po zamachach z września 1999 roku polityczne podziały w Rosji zeszyły na dalszy plan. Wszyscy domagali się zemsty. Słowa przestały się liczyć, oburzeni żądali krwi. W tej sytuacji dyplomatów i błaznów musiał zastąpić twardej. Dziesięć dni po rozpoczęciu serii zamachów Putin uznał porozumienie pokojowe, które zakończyło pierwszą wojnę czeczeńską, za błąd. „Tych ludzi trzeba zniszczyć” – oświadczył z rozbrajającą szczerością. Zaczyna się druga wojna czeczeńska. Popularność Putina rośnie.

Wybrano go premierem, bo otoczenie gasnącego już Jelcyna traktowało go jako słabego polityka i liczyło na jego uległość. Wszystko na to wskazywało. Był niepopu-

larny, niesympatyczny, prawie nieznan. Miał KGB-owską przeszłość, a więc dla liberałów i demokratów był antybohaterem. Był twardy i surowy, używał knajackiego języka. Trzeba było dla niego dopiero stworzyć legendę i poglądy polityczne. Borys Bierieźowski, władca marionetek na dworze Jelcyna, nie traktował go poważnie. Nawet nie starał się z nim zaprzyjaźnić. Myślał, że ma do czynienia z półśrodkiem, tymczasowym rozwiązaniem, figurantem bez perspektyw. Popełnił potrójny błąd – pomylił się co do osoby, sytuacji i otoczenia. Najpotężniejszy z oligarchów dał się nabrać jak dziecko, wziął maskę aktora za prawdziwe oblicze.

PERMANENTNE NIEDOWIERZANIE

KILKA LAT PO ZAMACHACH na bloki w Rosji powstał film Andrieja Niekrasowa *Niedowierzanie (Disbelief)*, pokazujący, jak mało wiemy na temat organizatorów tych potwornych zbrodni. Bohaterką dokumentu jest mieszkająca w Ameryce Tatiana Morozowa, której matka zginęła w zamachu 9 września. Początkowo nie miała ona wątpliwości odnośnie do oficjalnej wersji wydarzeń. Sprowadziła do USA rozbitą psychicznie siostrę, która w zamachu straciła nie tylko matkę, ale i ukochanego. Gdy jednak amerykański uczoney, były korespondent „Wall Street Journal” w Moskwie David Satter opublikował książkę, w której przedstawił zupełnie inną wersję wydarzeń, Tatiana zaczęła wątpić. Kanwą dokumentu stanowi właśnie opowieść Sattera o Rosji – zdemoralizowanym państwie, w którym służby specjalne kompromitują walczącego z korupcją na szczytach władzy prokuratora generalnego, a zaraz potem dochodzi do zamachów i ogłoszona zostaje „wojna z terrorem”, zaś prezydentem zostaje szef tajnych

służb – Władimir Putin. Aby spróbować poznać prawdę o zamachu i o tym, czy mogły w tym maczać place władze, siostry Morozowe udają się do Rosji. Tatiana odwiedza rodzinę, spotyka się z sąsiadami z bloku, adwokatem i z oskarżonym o zorganizowanie zamachu Czeczenem. Bezskutecznie stara się otrzymać dostęp do akt sprawy. Film nie daje odpowiedzi na pytanie, kto jest sprawcą, ale każe wątpić w „prawdę”, jaką znamy. Z prywatnego śledztwa Michaiła Triepaszkina, adwokata Tatiany, wynika, że głównym podejrzanym w sprawie eksplozji w moskiewskim bloku jest oficer FSB, który zginął potem na Cyprze pod kołami nieznanego samochodu.

MICHAŁ IWANOWICZ TRIEPASZKIN – adwokat, były oficer KGB/FSB, dosłużył się stopnia pułkownika, odsiedział wyrok za ujawnianie tajemnic państwowych, uznawany przez Amnesty International za więźnia politycznego. Urodził się w 1957 r. w Moskwie. Od 1984 r. służył w KGB. Na początku lat 90. pracował w Departamencie Spraw Wewnętrznych FSB, zajmując się zwalczaniem korupcji i badaniem związków oficerów FSB z grupami przestępczymi. Potem przeszedł do policji podatkowej. Na konferencji w listopadzie 1998 r. Aleksander Litwinienko wraz z kilkoma innymi oficerami FSB ujawnił, że dostali oni rozkaz zabicia Triepaszkina (tak jak i Borysa Bieriezowskiego). W 2002 r. deputowany Dumy Siergiej Kowalow zaprosił go do współpracy w niezależnym śledztwie na temat zamachów bombowych z września 1999 r. Później został wynajęty przez siostry Morozowe, których matka zginęła w zamachu, aby reprezentować je w procesie w tej sprawie. W października 2003 r., tuż przed przesłuchaniami, w jego samochodzie znaleziono broń i aresztowano go. Zarzut posiadania broni został odrzucony przez Moskiewski Sąd

Apelacyjny, ale sąd wojskowy skazał go w zamkniętym procesie na cztery lata więzienia za ujawnienie tajemnic państwowych. Sprawa Triepaszkina była wielokrotnie poruszana przez zachodnią prasę i obrońców praw człowieka. W 2007 r. przeniesiono go do kolonii karnej o zaostrożnym rygorze, pomimo złego stanu zdrowia. Po odsiedzeniu całego wyroku wrócił do pracy adwokackiej i działa jako obrońca praw człowieka.

Wskazany przez służby jako główny podejrzany w sprawie zamachów Aczemez Goczijajew nigdy nie został złapany. W styczniu 2004 roku na najwyższą karę – dożywotnie więzienie – skazano dwóch współorganizatorów zamachów, ale spekulacje, że z wybuchami miały coś wspólnego rosyjskie służby specjalne, nigdy nie ustały. W filmie *Niedowierzenie* wypowiedają się zarówno ci Rosjanie, którzy nie mają wątpliwości, że Czeczeni są winni, jak i ci, którzy mówią, że w tę aferę są zamieszane grube ryby z władz. Swietłana, przyjaciółka Tatiany z dzieciństwa, której rodzice zginęli w wybuchu, stwierdza: „Co mogę zrobić? Muszę dalej żyć w tym kraju, to jedyny, jaki mam. A prawda? Boję się jej odkrycia, może okazać się gorsza od tego, co się stało”.

Dokument *Niedowierzenie*, uhonorowany licznymi nagrodami, został sfinansowany przez człowieka, który pomógł Putinowi zdobyć władzę, by potem stać się jego arcywrogiem – genialnego matematyka i fatalnego psychologa Borysa Bieriezowskiego. Film był pokazywany we wrześniu 2004 roku w kilkunastu miastach świata przez Amnesty International. W tym czasie Rosja pozostawała w szoku po innej piekielnej masakrze. Podczas inauguracji roku szkolę w Biesłanie opanowało 33 Czeczeńców z oddziału Szamila Basajewa. Trzy dni później

rosyjskie siły specjalne, milicja i uzbrojeni mieszkańcy ruszyli przeciwko terrorystom. Według oficjalnych danych zginęło co najmniej 334 zakładników, w tym 186 dzieci. Rannych nie liczono. Do dziś nie wiadomo, jak doszło do tej potwornej rzezi.

Mgła tajemnicy otacza wszystkie najstraszniejsze kryzysy w okresie panowania Putina: od katastrofy okrętu podwodnego Kursk, przez szturm w teatrze na Dubrowce, zabójstwa opozycjonistów i niezależnych dziennikarzy (Anny Politkowskiej, Aleksandra Litwinienki i innych), aż po wojnę gruzińską i katastrofę smoleńską. Ta ostatnia, jak żadne inne wydarzenie tego wieku, dzieli wciąż polski naród. Ale warto zauważyć zmianę, jaka w nas zaszła od tamtego pamiętnego 10 kwietnia. Dziś nikt nie ma wątpliwości, kim są dywersanci, którzy prowadzą operacje we wschodniej i południowej Ukrainie, mimo że Rosjanie prezentują ich jako cywili, którzy wyposażyli się w mundury i broń w sklepach. Zupełnie inaczej było cztery lata temu. Kiedy Rosjanie uznali polski wojskowy samolot państwowy z prezydentem na pokładzie za maszynę cywilną odbywającą cywilny lot i badali ją na podstawie prawa odnoszącego się do lotnictwa cywilnego – rząd polski nie protestował. Przeciwnie, uznał rosyjską interpretację za optymalną dla wyjaśnienia sprawy, oddał śledztwo na wyłączność stronie rosyjskiej i pozwolił, aby badała ją rosyjska komisja pod kierownictwem ówczesnego premiera Władimira Putina. Wynik prac Rosjan został w dużym stopniu powtórzony w raporcie polskiej rządowej komisji na czele z ministrem Jerzym Millerem. Choć w katastrofie smoleńskiej zginęło całe najwyższe dowództwo polskiej armii, czyli kraju członkowskiego NATO, do dziś polski rząd nie zwrócił się o pomoc w wyjaśnieniu tej sprawy do naszych sojuszników. I to mimo tego, że Rosja dotąd nie oddała Polsce nawet podstawowych dowodów

w tej sprawie – wraku samolotu i czarnych skrzynek. Po katastrofie smoleńskiej polski rząd traktował działania strony rosyjskiej z najwyższą ufnością, teraz – w czasie kryzysu ukraińskiego – wydaje się mieć do Moskwy zero zaufania. Te podwójne standardy w odniesieniu do Rosji mają zresztą wymiar uniwersalny i dotyczą wielu aspektów funkcjonowania tego państwa.

Nasza wiedza na temat potencjału gospodarczego czy militarnego Rosji jest tak samo ułomna. Szacunki co do nich w różnych zachodnich źródłach różnią się tak radykalnie, że w ogóle nie pozwalają określić, czy Rosja jest silna, czy słaba, bogata czy biedna, rozwijająca się czy cofająca w rozwoju. Pozostaje ona dla nas po prostu nieobliczalna. I sami po części dopuściliśmy do takiej sytuacji, zgadzając się na to, aby żołnierza nazywać cywilem, a złodzieja biznesmenem. Przez lata władca Rosji definiował, kto jest kim, dlatego i teraz postępuje tak, jakby absolutna racja była po jego stronie, i przyznaje sobie prawo do korekty ładu międzynarodowego. Bez przyzwolenia ze strony Zachodu Moskwa nie mogłaby nawet marzyć o wskrzeszeniu imperium. Jednak naiwność połączona z żądzą zysku sprawiła, że zdobyła ona klakierów i urosła do roli mocarza. Po latach życia w fałszu trudno się dziwić, że jej władca uwierzył w swoją wszechmoc i imperialną misję.

SEN IMPERATORA

„MARZENIEM PREZYDENTA PUTINA jest odbudowa ZSRR” – oceniał w maju w rozmowie z Wirtualną Polską Krzysztof Boruc, analityk wojskowy z Centrum Badań nad Terroryzmem Collegium Civitas. „Zdaje on sobie

sprawę, że nie jest to możliwe w granicach z 1991 roku, np. z państwami bałtyckimi. Ale już Białoruś, Ukraina, Armenia, Kazachstan, Turkmenistan, Tadżykistan będą w taki czy inny sposób wchłonięte, choć może to przybrać różną formę”. Boruc zwrócił uwagę na noty przywódców wymienionych państw do prezydenta Rosji po aneksji Krymu: „To były listy wiernopoddańcze, wychwalające wielkiego wodza Rosji. Strach został zasiany. Wszyscy ci prezydenci, a praktycznie właściciele byłych republik postsowieckich, trzęsą się ze strachu”.

Inaczej jest z poddanymi cara – oni czują w sobie moc. Trzech na czterech Rosjan uważa swój kraj za światowe mocarstwo, a liczba tak myślących jeszcze wzrosła po aneksji Krymu. Podając te wyniki, dziennik „Kommersant” podkreślał, że to na fali kryzysu ukraińskiego wzrosły wśród Rosjan optymizm i wiara w możliwości własnego kraju. Eksperti Wszechrosyjskiego Centrum Badania Opinii Publicznej, którzy przeprowadzili analizy, podkreślili, że podobny wzrost wiary w możliwości Rosji miał już miejsce w 2008 roku, po wojnie z Gruzją. Spośród Rosjan przekonanych o mocarstwowości swojego państwa 42% wierzy, że ma na to wpływ potencjał wojskowy, a 52% – że gospodarka.

Imperialistami są nawet, co ciekawe, separatyści we wschodniej Ukrainie. Lider samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej Denis Puszylin w wywiadzie dla „Die Welt” 10 maja 2014 roku powiedział, że jego celem jest „wielkie słowiańskie państwo”. Jak mówi, „rosyjskość” nie jest narodowością, lecz „tym, co człowiek nosi w sobie”. „Wszyscy, którzy urodzili się w ZSRR, są naszymi braćmi” – wyjaśnił.

Waleria Nowodworska, dysydentka i publicystka rosyjska, tak komentowała dla „Rzeczpospolitej” wzrost

poparcia dla Putina po aneksji Krymu: „Tańczący na placu Czerwonym ludzie nie rozumieją, że ich kosztem będą bogacili się kryminaliści na Krymie. Niestety rosyjskie społeczeństwo popiera imperialną politykę Putina. Tak czy inaczej Rosja nadal pozostaje imperialna. Nawet wybitni działacze rosyjskiej kultury wspierają tę politykę i przez to kłócą się ze swoimi ukraińskimi kolegami. Rozpadają się rosyjsko-ukraińskie związki małżeńskie. Niestety nasze państwo jest w tym sensie nienaprawialne. Rosja była i pozostaje imperium zła”.

**W SŁUŻBIE SOWIECKIEGO
IMPERIUM**

BYŁ NA GLOBALNEJ SCENIE od kilkunastu lat, a mimo to udało mu się uchronić wiele tajemnic swej przeszłości. Tak mu się przynajmniej wydawało. Sprawiał wrażenie człowieka wyrazistego, twardego i zdecydowanego. To doświadczenie życiowe miało zasadniczy wpływ na jego działania i plany. Od dziecka musiał walczyć o przetrwanie. Wiedział, że aby zachować godność, nie wolno ulegać innym, nawet jeśli są więksi od ciebie. W życiu liczy się upór i ambicja, ale trzeba też umieć udawać i zwodzić rywali. Wierzył w lojalność wobec swojej drużyny. W głębi duszy gardził politykami o lepkich rękach i miękkich sercach. Był przekonany, że można ich tanio kupić. Nigdy się nie pogodził z upadkiem imperium. Zawsze marzył o jego odbudowie. Ostatnio stosunek świata do niego zmienił się nie do poznania, ale on sam pozostał taki jak dawniej.

Od młodości chciał zostać szpiegiem, fascynowało go udawanie, że jest kimś innym, ukrywanie swoich intencji i celów. Szpieg gra, stwarza pozory i wprowadza w błąd. Jest człowiekiem fałszywym i podstępny, bo musi zyskać uznanie tych, na których mu zależy, i wydobyc z nich informacje albo skłonić ich do współpracy. Wrodzony talent i wyuczone umiejętności pozwoliły mu

wywieść w pole niejednego eksperta i oszusta. Potrafił zjednywać sobie wrogów i kupować idiotów. Przybieranie fałszywych tożsamości i zacieranie tropów to był dla niego chleb powszedni. Nie wstydził się tego, co robił dawniej, choć po latach jego oficjalna biografia stanowiła stek autokreacji, konfabulacji i manipulacji. Nawet podstawowe fakty spowijała gęsta, sztuczna mgła. Jego wersja różniła się od wersji wrogów tak bardzo, jakby dotyczyły one różnych postaci. Widzowie mogli sobie to interpretować, jak chcą i na ile starczy im rozumu, odwagi i wyobraźni. W efekcie większość go czciła niczym dobrego, choć surowego ojca, ale byli też tacy, którzy darzyli go zwierzęcą nienawiścią. Między takimi postawami nie sposób znaleźć wspólnego mianownika, i o to właśnie chodziło.

W odwiecznej walce prawdy i fałszu wolał stać po tej drugiej stronie. Chciał zwalczać wrogów wewnętrznych i zewnętrznych. Gotów był zrobić wszystko, byle dostać się do najpotężniejszej służby w dziejach, czyli do KGB. Nigdy nie zwątpił i nie zbuntował się przeciw komunie, jak robili to inni. Przeciwnie – służył jej wiernie, aż do końca. To, co większość ludzi po wschodniej stronie żelaznej kurtyny uznawało za niewolę, zakłamanie i marnotrawstwo, on traktował jako próbę charakteru i drogę kariery. Rwał się do walki. Był odważny i agresywny. Nie wierzył w świat bez przemocy, oparty na zaufaniu i współpracy. Żyjąc w obozie, marzył nie o tym, aby z niego uciec, lecz aby dostać się do jego załogi i jako strażnik móc pilnować innych, by nie zakłócili ustalonego porządku. Szybko odkrył, że jednostka nie ma szans w walce z systemem. Zrozumiał, że kolektyw jest potęgą, i nie myślał o głupich buntach. Uwierzył w mądrość Państwa i poszedł do niego na służbę. To był jego własny, wolny wybór.

Komitet, wszechpotężna tajna policja, stał się jego drugim domem, a pracę dla niego traktował jako misję. Uczył się pilnie jej metod i sposobów działania: jak śle dzić, jak oszukiwać, jak nie dać się oszukać, jak werbować i jak eliminować. Najpierw działał na froncie wewnętrznym. Dysydentów i wolnomyślicieli było początkowo jak na lekarstwo, ale potem ich liczba wzrosła. On jednak nigdy nie zwątpił. W połowie drogi między powstaniem Solidarności a obaleniem Muru został zauważony i skierowany na front zewnętrzny, do komunistycznych Niemiec. Tutaj gra była niezwykle trudna, bo gołym okiem było widać, że po drugiej – tej wrogiej – stronie Muru ludziom żyje się lepiej i wygodniej. Mieli nie tylko więcej możliwości, ale i więcej środków. W tej sytuacji przekonywanie ich do zdrady i kupowanie do tajnej współpracy było nie lada sztuką. Kiedy Niemcy przejmowali archiwa swojej tajnej policji, on sumiennie palił mniej ważne dokumenty, aby nie wpadły w niepowołane ręce. Te najważniejsze wysyłał do Moskwy. Kiedy zrewoltowany tłum szedł na placówki Stasi, on dzwonił po pomoc do jednostek stacjonujących w pobliżu. Ku jego rozczarowaniu wojsku nie przekazano rozkazu. Imperium upadło. Jego tajne służby musiały, przynajmniej oficjalnie, wycofać się z wysuniętych placówek, a on – wrócić na rodzinne śmieci. Było to dla niego osobiste upokorzenie i degradacja. Zwłaszcza że równocześnie trwała czarna kampania przeciw jego firmie. Tego nigdy Gorbaczowowi nie wybaczy. Upadek sowieckiego imperium, który był dniem wyzwolenia i radości dla milionów zniewolonych ludzi, dla niego był okresem wielkiej smuty. Upadek Związku stał się dla niego największą katastrofą geopolityczną XX wieku.

PODWÓJNE DZIECIŃSTWO

NA TEMAT PREZYDENTA ROSJI każdy może mieć własne zdanie, ale informacje dotyczące jego życia powinny być klarowne. Tymczasem wiele jest tu sprzeczności. Według jednych Putin to macho i twardziel, który był rozpieszczany jako dziecko i zawsze kierował się w życiu żelaznymi zasadami. Według innych to pólsierota, maltretowany przez ojczyzna, ze skrzywioną psychiką, pozbawiony wszelkich zasad i zahamowań. Jeden z jego biografów doszedł nawet do wniosku, że Putin nie lubi kobiet i jest ukrytym gejem. Mimo że od kilkunastu lat rządzi żelazną ręką w atomowym mocarstwie, to jego przeszłość pełna jest zagadek. Jeśli wgłębić się w nią, to nawet z pozoru oczywiste ustalenia stają się wątpliwe. I nie jest to przypadek. Putina ukształtowało KGB, a tego rzemiosłem było tworzenie legend. Sztukę tę dobrze opanował – świat uznał za prawdę te bajki, które Putin i jego koledzy z Komitetu podali mu do wiadomości.

Problem zaczyna się już na początku, czyli przy narodzinach przyszłego prezydenta, a nawet wcześniej. Relacje na temat jego wczesnego dzieciństwa są zdumiewająco ubogie. W quasi-autobiografii *Od pierwszej osoby (Ot pierwowo lica)*, wywiadzie udzielonym na potrzeby kampanii prezydenckiej 2000 roku, Putin opowiada, że spędził swoje wczesne lata w małym mieszkaniu komunalnym w pełnej szcurów kamienicy w Leningradzie, gdzie nie było ani ciepłej wody, ani łazienki. Przed wojną jego rodzice żyli ponoć w lepszych warunkach i byli właścicielami połowy domu. Twierdzi też, że jego dziadek ze strony ojca Spiridon Iwanowicz Putin był osobistym kucharzem Lenina i Stalina. Po rewolucji dziadek dostał pracę na przedmieściach Moskwy, gdzie żył wódz rewolucji i cała rodzina Uljanowych. „Kiedy Lenin zmarł, mój dziadek został

przeniesiony do jednej z willi Stalina. Pracował tam długi czas” – wspominał Putin. Bycie kucharzem najważniejszych osób w państwie w tamtych czasach nie było prostą sprawą. Trzeba było nie tylko umieć gotować, ale przede wszystkim cieszyć się zaufaniem, nawet osoby tak podejrzliwej jak Stalin. Wszak przyczyna śmierci Lenina do dziś jest przedmiotem różnych spiskowych teorii, między innymi dotyczących jego rzekomego otrucia. Zatem fakt, że po śmierci wodza rewolucji październikowej jego sukcesor korzystał nadal z usług Spirydona Iwanowicza, może wskazywać, iż nie był to byle kto. Zdołał przeżyć również Stalina i jego kompanów i zmarł w 1965 roku w podeszłym wieku naturalną śmiercią. Przyszły prezydent zdążył go zatem poznać i wysłuchać.

William J. Moylan w książce *The King of Terror* podaje, że dziadek prezydenta był zatrudniony w dacy Lenina w Gorkach, a po jego śmierci gotował dla wdowy po nim – Nadieždy Krupskiej, i okazyjnie także dla Stalina. Potem zatrudniony był w dacy Moskiewskiego Komitetu KPZR, gdzie odwiedzał go młody wnuk. Autor stwierdza, że jest dość tajemniczą sprawą, iż nie ma żadnych wzmianek o przodkach Spirydona Putina. W książce Simona Sebaga Montefiore *Stalin. Dwór czerwonego cara* można przeczytać: „Dziadek prezydenta Władimira Putina był szefem kuchni w jednym z domów Stalina, ale milczał na temat swojej przeszłości. Jako chłopiec przynosił jedzenie Rasputinowi. Później gotował dla Lenina. Był z pewnością najśłynniejszym rosyjskim kucharzem, skoro obsługiwał Rasputina, Lenina i Stalina”.

Rodzina prezydenta Rosji nie była więc tak zupełnie zwykła, jak ją przedstawiał sam Putin. Nie mniejsze wątpliwości dotyczą jego ojca – Władimira. Według jednej wersji był on ślusarzem w fabryce taboru kolejowego w Leningradzie, według innej – oficerem NKWD i boha-

terem wojennym. Na początku lat 30. służył w Rosyjskiej Flocie podwodnej, a w czasie wojny w jednostkach dywersyjnych, które były zrzucały na tyły oblegających Leningrad wojsk hitlerowskich. Tam – według wersji syna – odznaczył się męstwem, sprytem i poświęceniem. W jednej z akcji został ciężko ranny w nogi, ale jego kolega zdołał go przenieść przez linię frontu. Wiele miesięcy leżał w szpitalu, a rany dokuczały mu do końca życia.

Status społeczny rodziny, na tle nędzy panującej w powojennym Związku Radzieckim, wskazuje, że nawet jeśli ojciec prezydenta pracował fizycznie, to nie było to jego jedyne źródło dochodu. „Rodzina Putinów zajmowała największy pokój w mieszkaniu, liczący sobie niemal 20 metrów kwadratowych. Jak na ówczesne warunki był to prawdziwy pałac, naprawdę rzadko się zdarzało, by takie lokale pozwalano zajmować rodzinie liczącej tylko trzy osoby” – pisze Masza Gessen w biografii *Putin. Człowiek bez twarzy*. Putinowie mieli także telewizor, telefon i dachę za miastem – w tamtych czasach rzecz niespotykana. Gessen pisze, że nie wiadomo, czy przed wojną i po wojnie ojciec Putina służył w NKWD, ale na pewno w czasie wojny został wcielony do oddziałów dywersyjnych, które działały pod rozkazami NKWD i wykonywały misje na tyłach wroga: „Wydaje się prawdopodobne, że pozostał członkiem tak zwanej aktywnej rezerwy, olbrzymiej rzeszy funkcjonariuszy tajnej policji, którzy oficjalnie piastowali niezwiązane ze służbą stanowiska, ale składali regularne raporty i pobierali wynagrodzenie”.

Według oficjalnej wersji Władimir Władimirowicz Putin urodził się 7 października 1952 roku, ale i to jest kwestionowane przez wielu autorów. Mówi się również o potajemnym chrzcie chłopca, dokonany przez matkę bez wiedzy ojca. Byłoby to dowodem nielojalności wobec komunistycznego systemu, a zarazem wielkiej odwagi, ale

wersja ta została podana przez samego kandydata na prezydenta Rosji, kiedy poparcie Cerkwi i ludzi wierzących mogło stanowić atut polityczny. Całe jego wczesne lata życia giną w mroku, a ubóstwo relacji i wspomnień z okresu przedszkolnego jest co najmniej zastanawiające.

Ten deficyt wiedzy sprawia, że stale żywa pozostaje wersja, iż Putin jest dzieckiem adoptowanym. Jeszcze przed jego wyborem na prezydenta w 2000 roku niejaką Wiera Putina, Rosjanka mieszkająca na gruzińskiej prowincji, dowodziła, że Władimir Władimirowicz jest jej nieślubnym synem. Aby udowodnić swoje słowa, kobieta deklarowała, że gotowa jest poddać się testom DNA. Twierdziła, że Władimir urodził się 7 października 1950 roku, a więc dwa lata wcześniej, niż podaje oficjalna biografia. Jego ojcem miał być rosyjski mechanik Platon Priwałow, żonaty wtedy z inną kobietą. Obszerne wspomnienia Wiery na temat jej syna odnaleźć można w holenderskim dokumencie w reżyserii Ineke Smits zatytułowanym *Putin's Mama*, który został po raz pierwszy pokazany w 2003 roku. Wiera mówi, że ojciec jej pierwszordnego syna uczył się na mechanika w tej samej szkole co ona. Poznali się na wieczorku tanecznym. Ich romans trwał jednak krótko, bo dowiedziała się, że Platon jest żonaty i od razu z nim zerwała, mimo że była już w ciąży. Dwa lata później poznała gruzińskiego żołnierza Giorgiego Osepahwilego i wzięła z nim ślub. Obiecywał jej dostatnie życie i opowiadał, że ma wystawny dom w swojej ojczyźnie. Wiera pojechała z nim do Gruzji i pozostała tam, mimo że opowieści o zamożnym życiu okazały się fikcją. Zamieszkali w wiosce Metechi nieopodal miasteczka Kaspi, przy drodze z Tbilisi do Gori (tego samego, w którym urodził się Józef Stalin).

Mieszkańcy wioski uważali matkę chłopca za obcą, bo była Rosjanką, a na dodatek przyjechała z nieślub-

nym dzieckiem, dwuipółletnim chłopcem Wową. Cała wieś była uboga, ale w ich domu bieda aż piszczała. Stosunki między chłopcem a jego ojczymem nigdy nie były dobre, a z czasem stawały się coraz gorsze, zwłaszcza po tym, jak matka Wowy urodziła Giorgiemu jego własne dzieci. Mieszkańcy wsi zapamiętali Wowę jako chłopca zaniedbanego i maltretowanego przez ojczyma, który ostro pił. Chłopiec musiał się chować coraz głębiej w swojej skorupie i walczyć, aby przeżyć. Matka Wowy i sąsiedzi wspominają jego upór i konsekwencję w dążeniu do celu. Traumatyczne doświadczenia z wczesnego dzieciństwa zahartowały go i uczyniły mało wylewnym, zimnym i zdystansowanym.

Wiera Putina twierdzi, że jej pierworodny był spokojnym dzieckiem, które dużo czytało, choć nie było zbyt towarzyskie. Wowa miał uczęszczać do miejscowej szkoły. W archiwach jest rzeczywiście wzmianka o tym, że jakiś Władimir Putin był tam uczniem w latach 1959–1960, choć przypisano mu narodowość gruzińską. Szura Gabinaszwili, nauczycielka języka rosyjskiego w szkole w Metechi, zapamiętała Wowę jako najbystrzejszego chłopca w klasie, który kochał rosyjskie baśnie, lubił łowić ryby, mocować się z kolegami i zawsze chciał we wszystkim zwyciężać.

Tymczasem sytuacja w domu stawała się coraz gorsza. Ojczym nie mógł ścierpieć tego, że po jego mieszkaniu kręci się krnąbrny chłopiec, który nie jest nawet jego synem, tylko żywym dowodem rozwiązłości jego żony. W końcu 1960 roku zażądał od Wiery, aby zabrała go z domu. Ta w końcu uległa mężowi i wywiozła chłopca do Rosji do swoich rodziców, a sama wróciła do Gruzji, gdzie czekały na nią dwie młodsze córki. Więcej synem się nie interesowała, wiedziała tylko, że wstąpił do KGB. W 1999 roku zobaczyła w telewizji Władimira Putina i stwierdziła, że

to jej syn, którego porzuciła prawie 40 lat wcześniej. Wiera uważa, że jej rodzice oddali chłopca bezdzietnej parze z Leningradu, która go adoptowała. Ta wersja jest całkowicie odrzucana przez Kreml, ale uznaje ją wielu dziennikarzy i biografów Putina.

Stale krąży plotka, że próby wyjaśnienia sprawy biologicznych rodziców i dzieciństwa prezydenta mogły być przyczyną wielu tajemniczych śmierci. Najgłośniejszą z nich była katastrofa lotnicza z 9 marca 2000 roku, czyli tuż przed wyborów prezydenckich w Rosji, w której zginął znany dziennikarz Artiom Borowik, prezes holdingu wydawniczego Sowierszenno Siekrietno. Prywatny Jak-40 z dziewięcioma osobami na pokładzie runął wtedy na ziemię zaraz po starcie z lotniska Szeriemietiewo. Od razu pojawiła się teoria, że katastrofa nie była wypadkiem, lecz zamachem zorganizowanym przez rosyjskie tajne służby. Borowik miał zbierać informacje na temat dzieciństwa Putina i ponoć wszedł w posiadanie materiałów potwierdzających biologiczny związek między kandydatem na prezydenta a Wierą Putiną z Mecheti. Spekulacje te wracały jeszcze wielokrotnie. Dziennikarze wskazywali, że nie sposób dotrzeć do osób, które pamiętają dzieciństwo Putina w Leningradzie. Jego obecność w tym mieście da się udokumentować dopiero od 1960 roku. Tymczasem wielu mieszkańców gruzińskiej wioski przypominało sobie syna Wierę Putiny, mając rzekomo wiele dowodów na to, że spędził tam początkowe lata życia.

Mimo kilkunastu lat dyskusji na temat pochodzenia prezydenta, sprawa wciąż nie została rozstrzygnięta. Przez cały ten czas funkcjonują obok siebie równoległe dwie wersje, z których oficjalna dominuje, ale niezależna trzyma się mocno i ma swoich zagorzałych zwolenników. Być może spór o pochodzenie i dzieciństwo Putina nigdy nie zostanie rozstrzygnięty, a w każdym razie nie stanie się to,

dopóki Władimir Putin będzie sprawował niepodzielnie władzę w Rosji. A to dlatego, że jego władza rozciąga się – jak u Orwella – nie tylko na teraźniejszość, ale także na przeszłość.

PODWÓRKO, NA KTÓRYM HARTOWAŁA SIĘ STAL

TAK CZY INACZEJ, na długo przedtem, zanim przyszedł prezydent przyszedł na świat, jego rodzice (oficjalni): Władimir Spiridonowicz Putin i Maria Iwanowna z domu Szełemowa, stracili dwóch synów. Pobrali się, kiedy mieli po 17 lat, w 1928 roku. Po kilku latach zmarł, zaraz po narodzeniu, ich pierwszy syn Oleg. Drugi – Wiktor, który urodził się w 1940 roku, zmarł dwa lata później, w czasie oblężenia Leningradu. Oboje rodzice niemal cudem przetrwali wojnę, ale ojciec był ciężko ranny, a matka omal nie umarła z głodu i wycieńczenia. Pojawienie się Władimira siedem lat po wojnie było dla nich niemal cudem. Według jednej wersji biografii prezydenta rodzice darzyli chłopca silnym uczuciem i rozpieszczali go jak jedynaka. Dlatego już jako pierwszoklasista paradował ponoć z zegarkiem na rękę, który w tamtych czasach był traktowany jako luksus. Jako student jeździł własnym samochodem, co też było wówczas niespotykane. Putinowie zajmowali jednopokojowe mieszkanie na piątym piętrze kamienicy, po której biegały stada szczurów. Kuchnię dzielili z innymi rodzinami, a kąpali się w publicznej łaźni. Szybko dorobili się jednak takich luksusów jak telewizor, telefon i dacha za miastem.

W 1960 roku Władimir rozpoczął naukę w pierwszej klasie szkoły podstawowej nr 193 nieopodal swego mieszkania. Miał kiepską opinię z powodu fatalnego zachowa-

nia. Starał się zasłużyć na miano największego łobuza w okolicy i stale brał udział w bójkach. W wywiadzie rzecze z Natalią Geworkian i Andriejem Kolesnikowem Putin chwalił się, że zarówno w szkole, jak i na podwórku pozostawał nieformalnym liderem grupy, mimo że był mniejszy i drobniejszy od rówieśników. „To dopiero było podwórko” – wspomina Wiktor Borisenko, kolega z klasy i wieloletni przyjaciel Putina. – „Same bandziory. Niedomyte, nieogolone typy, ćmiące ciągle pety i pociągające tanie wino. Piciu i bójkom nie było końca... Później, gdy trochę podrośliśmy, widywaliśmy niektórych z nich, jak zapijali się na śmierć na samym dnie. Wielu miało na koncie wyroki. Większość nie dała rady ułożyć sobie życia”. Wołodia potrafił walczyć jak oszalały. „Gdy ktoś go obraził, Wołodia natychmiast rzucał się na niego, bił, draapał, wrywał mu garściami włosy. Robił wszystko, byle nie dać się upokorzyć przeciwnikowi” – relacjonuje jego przyjaciel. Zdarzało się, że wpadał w furję i całkowicie tracił panowanie nad sobą. Do takiego incydentu doszło nawet w szkole. „Pewnego dnia nauczyciel zajęć praktyczno-technicznych przyciągnął Putina za kołnierz do naszej klasy” – wspominał kolega. – „Robiliśmy wtedy śmietniczki, a Władimir gdzieś narozrabiał... Chwilę trwało, zanim się uspokoił, a samo uspokajanie przebiegało dość nietypowo. Wydawało się, że już odzyskał równowagę, że wszystko jest w porządku, gdy nagle znów wybuchał złością i zaczynał się wściekać. Powtórzyło się to kilka razy, zanim wreszcie odzyskał spokój”.

Wykluczenie z grona pionierów było karą stosowaną tylko wobec wyjątkowo złych i leniwych uczniów, których uznawano za nierokujących nadziei. Przyszły prezydent musiał więc być niezłym ziółkiem, skoro przez pięć lat nie miał prawa nosić czerwonej chustki. Dopiero w szóstej klasie dostąpił tego zaszczytu. W 2000 roku

sam Putin mówił: „Nie nadawałem się do pionierów, byłem chuliganem”. Gdy dziennikarka próbowała nieco złagodzić jego wypowiedź, ówczesny kandydat na prezydenta odparł: „Chce mnie pani obrazić? Byłem prawdziwym draniem”.

Przed stoczeniem się na dno młodego Putina uratował sport. Najpierw zaczął boksować, ale od razu doznał bolesnego złamania nosa i zraził się do walki na pięści. Zajął się na poważnie sambo – sowiecką sztuką walki bez użycia broni, będącą połączeniem džudo i zapasów. Początkowo rodzice nie chcieli się zgodzić na treningi syna. Obawiali się, że będzie on wykorzystywał nabyte na treningach umiejętności na ulicy i napyta sobie biedy. Wsparł go trener, który kilkakrotnie odwiedzał rodziców i przekonywał ich, by pozwolili chłopcu ćwiczyć. Trener stał się dla niego najwyższym autorytetem i mistrzem. W wywiadzie *Od pierwszej osoby* Putin wyznał: „Anatolij Siemionowicz (Rachlin) odegrał decydującą rolę w moim życiu. Gdyby nie wciągnął mnie w sport, nie jestem pewien, jak potoczyłoby się moje życie. To sport wyciągnął mnie z ulicy”. To trener zdecydował, że jego uczniowie powinni przestawić się na džudo. Wkrótce stało się ono dla chłopca czymś więcej niż wysiłek fizyczny. „Dżudo nie jest tylko sportem” – tłumaczył Putin dziennikarzom w 2000 roku – „to filozofia. To szacunek dla starszych i dla przeciwników”. Ćwiczył ciężko, codziennie, gdy tylko mógł. Chciał poprzez sport stać się wielki. Wyjść na ludzi.

W szkole zaczął się nieco lepiej prowadzić i uczyć, co zaowocowało przyjęciem go w szeregi pionierów. Potem został wybrany na przewodniczącego klasy. Jednak nigdy nie stracił swojej pierwotnej wojowniczości. Wciąż się bił. Jego przyjaciel opowiadał: „Staliśmy na przystanku, czekając na tramwaj. Wreszcie tramwaj podjechał, ale okazało się, że nie nasz. Wysiadło z niego dwóch pijanych męż-

czyżn, którzy szukali rozróby. Przeklinali i zaczepiali ludzi. Wowka spokojnie podał mi teczkę, a potem zobaczyłem tylko, jak pierwszy z mężczyzn ląduje twarzą w śnieżnej zaspie. Drugi natychmiast wystartował do Wołodii, krzyząc: «Co to miało być?». Kilka sekund później mógł się sam przekonać, bo leżał obok swojego kumpla”.

Zdaniem Maszy Gessen trudno nie doszukiwać się powiązań pomiędzy sportem a pragnieniem, które opanowało całe życie Putina. Chłopak musiał usłyszeć, że KGB wymaga od rekrutów umiejętności walki wręcz. Bycie mistrzem w sambo to była ważna i poszukiwana umiejętność w firmie, do której aspirował.

UCZEŃ CZARNOKSIEŻNIKÓW

„JESZCZE ZANIM SKOŃCZYŁEM SZKOŁĘ, już chciałem pracować w wywiadzie. To było moje marzenie, chociaż wydawało się prawie tak nieprawdopodobne jak lot na Marsa” – wyznał Putin w wywiadzie z 2000 roku. Jego wyobraźnię zawładnęły historie szpiegowskie takie jak *Tarcza i miecz*. Bohaterem tego czteroodcinkowego serialu z 1968 roku był radziecki szpieg w hitlerowskich Niemczech, który zrobił tam karierę od szofera do wysokiego oficera SS, uzyskując dostęp do największych tajemnic wojennych III Rzeszy. Putin wspominał: „Gdy byłem w dziewiątej klasie, zafascynowały mnie te książki i filmy. Zapragnąłem pracować dla KGB”.

Jako chłopiec trzymał na stole w dacy rodziców zdjęcie założyciela wojskowych służb wywiadowczych Armii Czerwonej – Jana Bierzina. Idol młodego Putina był bohaterem rewolucji październikowej, twórcą sieci placówek szpiegowskich w całej Europie, rozstrzelanym za działalność kontrrewolucyjną i szpiegostwo, zrehabilitowanym

w 1956 roku. Później jednak bardzo rzadko o nim wspomniano. Trzeba było się naprawdę postarać, żeby zdobyć zdjęcie tego zasłużonego bolszewika, który już jako nastolatek zabił carskiego policjanta i dostał pierwszy wyrok śmierci.

Młodego Putina zachwycało najbardziej to, że dzięki wysiłkowi jednego szpiega można osiągnąć czasem to, czego nie potrafią dokonać całe armie. KGB było najpierw jego marzeniem, potem planem, a w końcu stało się drugą rodziną i domem. Im mniej nici łączyło go z realnym światem, tym łatwiej mu było w szpiegowskiej profesji.

Zanim jeszcze skończył 18 lat, na początku dziewiątej klasy, poszedł do Wielkiego Domu, jak zwano siedzibę KGB w Leningradzie, aby dowiedzieć się, jak dostać się do służby. Wyszedł do niego jakiś *diadia* – jak go określił po latach.

– Chcę u was pracować – powiedział Wołodia.

– Świetnie, ale to nie takie proste – odparł mężczyzna.

– W czym problem? – dopytywał chłopiec.

– Po pierwsze my ochotników nie bierzemy – wyjaśnił funkcjonariusz. – Po drugie można do nas przystąpić tylko po służbie wojskowej albo po ukończeniu wyższej uczelni.

– Jakiej uczelni? – nagabywał gorliwy adept.

– Po każdej.

– A jaka jest najbardziej pożądana?

– Prawnicza.

Putin odszedł i zaczął przygotowywać się do zdobycia fakultetu prawniczego Uniwersytetu Leningradzkiego. „I już nikt nie mógł mnie powstrzymać” – mówił po latach dziennikarzom kandydat na prezydenta. Uniwersytet w Leningradzie był wtedy jedną z trzech najbardziej prestiżowych uczelni w całym imperium sowieckim i naj-

bardziej obleganą szkołą wyższą w mieście. O jedno miejsce ubiegało się 40 kandydatów. Mimo to Putinowi – przeciętnemu uczniowi ze zwykłej rodziny, udało się tam dostać. Niektórzy sądzą, że już wtedy opiekował się nim Komitet. Nie jest to wykluczone – młodociany łobuz i jeżdżący po turniejach sportowiec mógł być dla Komitetu cennym źródłem informacji. O kryteriach wyboru kandydatów na studia decydowała ich użyteczność dla komunistycznej władzy, a dodatkowym atutem Wołodii, poza jego wiarą w komunistyczny reżim, była jego biegłość w sztukach walki. Za umiejętnością fizycznego pokonania wroga szły jeszcze predyspozycje psychiczne do wykonania powierzonych zadań. Aby zlikwidować wroga, nie wystarczy wykuć na pamięć parę podręczników. Trzeba się sprawdzić, patrząc w oczy drugiemu człowiekowi.

W wywiadzie rzece Putin twierdzi, że po przyjęciu na uniwersytet zaczął się koncentrować na studiach, a sport zszedł na drugi plan. Jednak fakty nie do końca potwierdzają jego wersję. Przyszły prezydent uczestniczył w ogólnozwiązkowych zawodach sportowych, a w 1976 roku został mistrzem całego miasta. Podkreśla, że ludzie w jego sekcji to nie tylko amatorzy, ale i profesjonaliści oraz mistrzowie Europy, świata czy olimpijscy. Czarny pas mistrzowski w sambo zdobył zaraz po wstąpieniu na uniwersytet, a mistrzem dżudo został dwa lata później. Poza wkuwaniem paragrafów musiał więc sporo czasu poświęcać na ćwiczenia na macie. A nie były to przelewki. Kolega, którego Putin namówił do uprawiania dżudo, doznał złamania kręgu i został sparaliżowany, a po 10 dniach zmarł. Trenerzy dawali im solidny wycisk, łamały się ręce i nogi. Była to ciągła walka o przetrwanie, jak za dziecięcych czasów, tyle że teraz umiejętności przeciwników były dużo większe.

W TAJNEJ SŁUŻBIE KGB

PUTIN WSPOMINA, ŻE W CZASIE STUDIÓW czekał, aż ktoś się do niego zgłosi, bo pamiętał słowa funkcjonariusza KGB, że ochotników nie biorą: „Minęły cztery lata. Ciszka. Uznałem, że sprawa jest zakończona, i zacząłem rozglądać się za możliwością znalezienia zatrudnienia... A jednak na czwartym roku ktoś skontaktował się ze mną i poprosił o spotkanie. Nie przedstawił się, choć od pierwszej chwili wiedziałem, z kim mam do czynienia”. Oficer KGB po kilku spotkaniach z Putinem ocenił go jako „niezbyt towarzyskiego, ale dynamicznego, elastycznego i odważnego, przede wszystkim zaś łatwo kojarzącego twarz, co w przypadku pracy w KGB, szczególnie w komórce wywiadowczej, będzie mieć kluczowe znaczenie”.

Marzeniem Putina była utajona kontrola nad otoczeniem. Biografom opowiadał: „W ręku oficera wywiadu spoczywają losy tysięcy ludzi, a przynajmniej tak widziałem to wtedy”. Putin chciał władać światem, pociągać potajemnie za sznurki. Wstępując na służbę, w ogóle nie myślał o represjach, jakie prowadziła policja polityczna. Sam mówi, że można go uznać za „udany produkt patriotycznego wychowania człowieka sowieckiego”. Szedł na służbę z romantycznymi wyobrażeniami. A w okresie zimnej wojny i dyktatury marksizmu-leninizmu romantyzm wiązał się z pragnieniem, aby czołgi Armii Czerwonej obmyły swe gąsienice w wodach Atlantyku.

Przez pół roku po ukończeniu studiów Putin pracował w leningradzkiej placówce KGB, przez kolejne pół studiował w szkole oficerskiej Komitetu. Po ukończeniu tego kursu został skierowany do kontrwywiadu. W Leningradzie nie było jednak ani jednej ambasady, nie było też wielu cudzoziemców. Putin prowadzić musiał operacje przeciw dysydentom i innym wrogom komunizmu. Był

bojowy i odważny. Wspomina: „Kiedy uczyłem się w szkole wywiadu, napisali mi w jednej z charakterystyk jako negatywną cechę: obniżone poczucie zagrożenia. I ten niedostatek liczył się bardzo poważnie”.

Nawet po dostaniu się w szeregi KGB młody Putin nie wyzbył się swojej wojowniczości. Jeden z jego znajomych opowiadał: „Raz zaprosił mnie na wielkanocną drogę krzyżową. Miał wtedy służbę; otaczali kordonem procesję. Po procesji, gdy już wracaliśmy do domów, podeszło do nas na przystanku kilku ludzi. Nie wyglądali na bandytów, przypominali raczej studentów, którzy może wypili nieco za dużo. Odzywają się: «Macie fajki?». Wowka na to: «Nie», a oni: «Jak odpowiadasz? Co ty sobie myślisz?». On na to: «Nic». Potem nawet nie dałem rady zobaczyć, co się działo. Któryś z tych chłopaków musiał go popchnąć albo uderzyć. Mignęły mi tylko czyjeś skarpetki i typ dosłownie odleciał. Wowka powiedział spokojnie: «Chodźmy stąd». I poszliśmy”.

Jego kariera rozwijała się pomyślnie, między teorią a praktyką, spokojnie i bez fajerwerków. Jednak czasy były gorące. W całym komunistycznym obozie narastały nastroje opozycyjne. Papieżem został Polak i w priwislanckim kraju wybuchła kontrrewolucja Solidarności. Do wrogiego ruchu zapisało się 10 milionów ludzi. To dla organów bezpieczeństwa był szok. Komitet miał pełne ręce roboty. Sojusznicy stawali się wielkim zagrożeniem. Wszędzie działali szpiedzy wroga. Socjalizm w Polsce udało się co prawda obronić dzięki stanowi wojennemu, czyli wysyłając na Polaków ich własne wojsko, ale wydarzenia te wstrząsnęły światem. Zwłaszcza że wcześniej armia radziecka wkroczyła do Afganistanu, próbując rozszerzyć granice najbardziej postępowego ustroju. Młody oficer KGB nie miał oczywiście wątpliwości co do konieczności walki przeciw zaprzysięgłym wrogom imperium, tak

w samym Związku Radzieckim, jak i w socjalistycznym obozie czy na całym globie.

W tym czasie jego życie osobiste zmieniło się nie do poznania. Do 25. roku życia mieszkał w jednym pokoju z rodzicami. Potem Putinowie przeprowadzili się do bloku na obrzeżach miasta i ich dojrzały już syn po raz pierwszy w życiu miał własny pokój – 12 m². W tamtym okresie nie przejawiał nadmiernego zainteresowania kobietami. Był wciąż kawalerem, co budziło coraz większe zdziwienie, bo przytłaczająca większość Rosjan żeniła się bardzo wcześnie. Sam opowiadał, że miał poważny związek z pewną kobietą i nawet obie rodziny były już dogadane. Wszystko było gotowe do ślubu. Jednak w ostatniej chwili on postanowił się wycofać. Nie chciał unieszczęśliwić swojej wybranki. Nawet na swojej przyszłej żonie Władimir zrobił początkowo nie najlepsze wrażenie „człowieka nijakiego i kiepsko ubranego”. Ludmiła i Władimir spotykali się przez ponad trzy lata, co było niezwykle długim czasem jak na radzieckie warunki. Oboje byli już poza tym nie pierwszej młodości. Żeniąc się, Władimir miał prawie 31 lat. Jeszcze przed ślubem wyjawiał wybrance, że pracuje dla KGB, choć na początku znajomości mówił jej, że jest milicjantem. Ludmiła pracowała z kolei jako stewardesa w krajowych liniach lotniczych.

Przyszły prezydent rzadko okazywał uczucia. Przez okres narzeczeństwa to jego wybranka wykazywała się większym zaangażowaniem. Nawet jego oświadczyzny początkowo potraktowała jako wstęp do zerwania. Tak relacjonowała to wydarzenie: „Pewnego wieczoru, gdy siedzieliśmy u niego w mieszkaniu, zwrócił się do mnie następująco: «Miła przyjaciółko, teraz chyba już wiesz, jaki jestem. Życie ze mną nie należy do najprostszych». I brnął w opis własnej osoby. Przyznał, że nie potrafi rozmawiać, bywa oschły, rani uczucia innych i tak dalej. Ogólnie, nie jest człowiekiem, z którym warto by spędzić życie. W koń-

cu stwierdził: «Podejrzewam, że przez trzy i pół roku zdołałaś już wyrobić sobie zdanie na mój temat». Uznałam, że prawdopodobnie właśnie chce ze mną zerwać, więc odpowiedziałam: «Owszem». A on zapytał z niedowierzaniem: «Naprawdę?». W tamtym momencie poczułam, że to już koniec, usłyszałam jednak, jak mówi: «W takim razie wiedz, że cię Kocham i chciałbym poślubić cię tego i tego dnia». To było zupełnie niespodziewane”. Pobrali się trzy miesiące później. Zamieszkali w małym mieszkanku kupionym przez jego rodziców. Ludmiła zrezygnowała z pracy i rozpoczęła studia filologiczne na Uniwersytecie Leningradzkim. Rok po ślubie zaszła po raz pierwszy w ciążę. Kilka miesięcy później Putin został przyjęty na roczny kurs przygotowujący oficerów wywiadu do pracy za granicą, więc jego żona niemal całą ciążę i pierwsze miesiące po urodzeniu córki spędziła samotnie.

NA WYSUNIĘTEJ PLACÓWCE

KARIERA PUTINA NABRAŁA TEMPA w 1984 roku, gdy wysłano go do szkoły wywiadu w Moskwie. Miał wtedy 32 lata i dosłużył się stopnia majora. Każdy funkcjonariusz Komitetu marzył wówczas o sprawdzeniu się na rubieży, dlatego Putin nawet w największym upale nosił trzyczęściowy garnitur, aby zademonstrować samodyscyplinę i szacunek dla wykładowców. Został zauważony i zapamiętany jako dobry słuchacz, całym sercem oddany KGB. Jednak jego cechy osobowości nie predestynowały go do pracy za żelazną kurtyną. Poza „obniżonym progmem poczucia zagrożenia” wykładowcy wytykali mu introwertyczny charakter. Jeden z instruktorów uznał go za osobę bardzo zamkniętą i niezbyt towarzyską. Putin miał być skierowany do pracy w Niemczech, dlatego pilnie do-

skonał znajomość niemieckiego. Opanował ten język biegłe, ale nigdy nie pozbył się rosyjskiego akcentu. Wtopić się w zachodnioniemiecki tłum byłoby mu trudno, znacznie lepiej nadawał się do pracy z komunistycznymi przyjaciółmi ze wschodnich Niemiec. Tutaj jego rosyjski akcent nie raził, a przeciwnie – przypominał rozmówcy, z kim ma do czynienia. I rzeczywiście, po roku wysłano go na placówkę w NRD. Wyjechał za granicę dopiero po 10 latach oficjalnej pracy w KGB, co nie świadczy dobrze o jego przebojowości. Spędził w Dreźnie blisko pięć lat.

Putin przyjechał do NRD razem z roczną córeczką Marysią i żoną, która była w kolejnej ciąży. Zamieszkali razem z pięcioma innymi rosyjskimi rodzinami w dużym bloku należącym do niemieckiej komunistycznej policji Stasi. Ludmile pobyt w Niemczech bardzo służył, polubiła tutejszych mieszkańców. W porównaniu ze Związkiem Radzieckim NRD była krajem dostatku. W 1986 roku urodziła się im druga córka – Jekatierina. Sielankowy obraz tego najszczęśliwszego okresu w życiu małżeństwa Putinów jest jednak późniejszą kreacją. O ciemniejszych stronach ich pożycia dowiedział się zachodnioniemiecki wywiad BND, którego agentka o imieniu Lenchen wniknęła głęboko w środowisko Rosjan stacjonujących w NRD jako ich tłumacz. Lenchen zaprzyjaźniła się z Ludmiłą i wysłuchiwała jej opowieści o życiu rodzinnym, w tym o domowych awanturach i licznych romansach męża. Sprawa agentki Lenchen przeciekła do mediów w listopadzie 2011 roku, kiedy Putin był premierem i szykował się do powrotu na Kreml.

Formalnie w Dreźnie Putin był zastępcą dyrektora Domu Przyjaźni Niemiecko-Radzieckiej. Faktycznie jednak rozpracowywał niemieckich polityków. Sam tak opisuje swoją służbę: „To była praca po linii wywiadu politycznego. Zdobywanie informacji o działaczach politycznych, o planach politycznego przeciwnika. Intereso-

wała nas każda informacja po linii, jak dawniej mówili, głównego przeciwnika, a za głównego przeciwnika uznawano NATO". Jego „całkowicie rutynowa praca” polegała przede wszystkim na zdobywaniu agentów: „Zwykła działalność wywiadowcza: werbowanie źródeł informacji, zdobywanie informacji, obróbka ich i wysyłanie do centrali. Chodziło o informacje o partiach politycznych, tendencjach wewnątrz tych partii, o liderach – i obecnych, i potencjalnych na jutro – o awansach ludzi na określone stanowiska w partiach i aparacie państwowym. Ważne było, żeby znać, kto, jak i co robi, co dzieje się w MSZ interesującego nas kraju, jak kształtuje ono swoją politykę w różnych kwestiach w różnych częściach świata. Albo – jakie będzie stanowisko naszych partnerów na przykład na rozmowach rozbrojeniowych. Oczywiście, aby uzyskać taką informację, potrzebne są źródła”.

Jakie sukcesy osiągnął Putin w werbowaniu agentów, oczywiście nie wiadomo, bo stanowi to do dziś najpilniej strzeżoną tajemnicę Rosji, ale jego ocena własnych dokonań była wysoka: „Praca szła mi dobrze. Uważano za normalne, jeśli w czasie pracy na placówce zagranicznej był jeden awans o stanowisko. Mnie awansowali dwa razy”.

Putin w Dreźnie nie cieszył się żadnymi szczególnymi przywilejami. Dzień rozpoczynał się od zebrania personelu, potem następowały spotkania z informatorami, po których sporządzano raporty dla centrali. Trzy czwarte czasu pracy oficerowie wywiadu spędzali ponoć właśnie na pisaniu sprawozdań. Według tworzonych później legendy praca w Dreźnie była poniżej ambicji Putina, bo tylko siedział za biurkiem i wysyłał do centrali w Moskwie wycinki prasowe. Ponoć przechodził wtedy poważną depresję – utył i przestał trenować. Największym jego sukcesem miało być zwerbowanie studenta z Kolumbii, który sprzedał KGB za 800 marek nieutajnione opisy jakichś proce-

dur bojowych. Być może jest w tej legendzie ziarno prawdy, ale bardziej prawdopodobne, że ma ona na celu ukrycie sukcesów Putina, które procentują po dziś dzień.

NAJWIĘKSZA KATASTROFA

UPADEK KOMUNIZMU BYŁ DLA PUTINA zaskoczeniem. To był potężny cios dla jego psychiki. Młody podpułkownik z szanowanego przedstawiciela supermocarstwa stał się nagle znienawidzonym okupantem. Putin wspomina: „W 1989 roku, kiedy zaczęto atakować władze Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, obawialiśmy się, że mogą przyjść także do nas. Wszystko zlikwidowaliśmy, wszystkie związki, kontakty, całą naszą agenturalną sieć. Ja sam osobiście spaliłem ogromne ilości materiałów. Paliliśmy tyle, że aż piecyk pękł. Paliliśmy dniem i nocą. Wszystko, co najcenniejsze, zostało wywiezione do Moskwy. Ale nie miało to już operacyjnego znaczenia – wszystkie kontakty zostały przerwane z racji bezpieczeństwa. Materiały zostały unicestwione i zdane do archiwum. Amen!”.

Gdy padał berliński mur, Putin czuł się zostawiony sam sobie. „Ludzie zgromadzili się wokół naszego budynku. Dobra, Niemcy zniszczyli swoje Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. To ich wewnętrzna sprawa. No ale my nie jesteśmy ich wewnętrzną sprawą. Zagrożenie było poważne. A my mieliśmy tam dokumenty. Nikt się nie ruszył, żeby nas bronić” – mówił, wciąż oburzony, mimo że od tych wydarzeń minęła cała dekada. Ochrona rosyjskiej placówki była skromna – zaledwie kilku ludzi. Pokaz siły odniósł efekt, ale tylko chwilowo. Putin tak zapamiętał to, co potem się stało: „Po pewnym czasie, kiedy tłum znowu nabrał odwagi, wyszedłem do ludzi i zapytałem,

czego chcą. Wyjaśniłem im, że to jest radziecka organizacja wojskowa. A z tłumu mnie pytają: «To dlaczego wy macie na podwórzu samochody na niemieckich numerach? Czym wy się tu w ogóle zajmujecie? (...) A wy to kto taki? Za dobrze mówicie po niemiecku» – krzyżeli. Odpowiedziałem im, że jestem tłumaczem. Ludzie byli nastawieni agresywnie. Zadzwoiłem do naszej grupy wojsk i wyjaśniłem sytuację. A oni mi mówią: «Niczego nie możemy zrobić bez decyzji z Moskwy. A Moskwa milczy». Potem, po kilku godzinach, nasi wojskowi przyjechali. I tłum się rozszedł. Ale przez to «Moskwa milczy» miałem wrażenie, że kraju już nie ma. Stało się jasne, że Związek jest chory. I to jest śmiertelna, nieuleczalna choroba, która nazywa się paraliż. Paraliż władzy”.

Putin rozumiał wtedy, że upadek muru berlińskiego jest nieuchronny. „Ale chciałoby się, żeby zamiast tego przyszło coś innego. A nic innego nie zostało zaproponowane. I to jest przykre. Po prostu rzucili wszystko i poszli” – wspominał z wyrzutem. Nigdy nie pojął, dlaczego oddano bez walki ziemię okupioną krwią żołnierzy. A przecież Zachodnia Grupa dysponowała sześcioma armiami, 21 dywizjami pancernymi, zmechanizowanymi i lotniczymi, 30 brygadami desantowo-szturmowymi, raketowymi, artyleryjskimi, 340 tys. żołnierzy, ponad 4 tys. czołgów, 8 tys. transporterów opancerzonych, 3,5 tys. dział, 1,2 tys. samolotów i śmigłowców, ponad 2,5 mln ton uzbrojenia i zaopatrzenia, w tym 800 tys. ton amunicji. To była taka potęga, że nikt nigdy nie zdołałby siłą usunąć jej z Niemiec. Gdyby nie decyzja Kremla, wojska te stacjonowałyby nad Łabą do dziś. Putin nigdy nie rozumiał, jak można się było tak po prostu wycofać. Dla niego poddanie się bez walki to była największa hańba. Dlatego rozpad imperium sowieckiego jawi mu się wciąż jako największa katastrofa geopolityczna XX wieku.